

Biden – sto pierwszych dni [FELIETON]

Biden, który od ponad pół wieku robił mozolnie karierę polityczną w Waszyngtonie, wydawał się być ucieleśnieniem rozsądnego, liberalnego establishmentu. Tymczasem zamiast liberalnej restauracji mamy dziś w Stanach progresywną rewolucję – pisze Dariusz Gawin w felietonie napisanym dla „Teologii Politycznej”.

Na początku marca odbyło się w Białym Domu zamknięte spotkanie prezydenta Joe Bidena z grupą historyków. Grono zostało starannie wyselekcjonowane spośród najbardziej znanych biografów amerykańskich prezydentów dwudziestego wieku. Zwracając się do Doris Kearns Goodwin, obsypanej wieloma nagrodami autorki, której kariera rozpoczęła się od książki o prezydenturze Lyndona Johsona („Lyndon Johnson and the American Dream”, 1976), zaczął od zdania: „Nie jestem wprawdzie Franklinem Delano Rooseveltem, ale...”. Ten początek ustalił ton całej rozmowy – nie chodziło w niej o zwykłe roztrząsanie przeszłości, lecz poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o źródła sukcesu wielkich prezydentów, szczególnie tych demokratycznych, którzy potrafili inicjować ambitne projekty reform. Punktem odniesienia były zatem takie epokowe programy jak New Deal Roosevelta, który postawił na nogi Amerykę po wielkim kryzysie czy Great Society Johsona z lat 60. Po dwugodzinnym spotkaniu Biden miał powiedzieć do jednego ze swoich doradców, że było ono tak ciekawe i inspirujące, że mógłby tak dyskutować jeszcze kolejne dwie godziny.

*Biden miał przynieść
uspokojenie nastrojów po
niebywałym natężeniu
politycznych emocji, jakie
rozbudził w liberalnej
Ameryce Donald Trump*

Ta anegdota
streszcza w sobie
atmosferę stu
pierwszych dni
Bidena i wyznacza
zaskakujący możliwy
kierunek, w którym
będzie się ona
rozwijająca.

Zaskoczenie bierze się stąd, iż Biden miał przynieść uspokojenie nastrojów po niebywałym natężeniu politycznych emocji, jakie rozbudził w liberalnej Ameryce Donald Trump. Jawił się jako kandydat kompromisowy, niespecjalnie wyrazisty i przez to możliwy do akceptacji przez skrajne skrzydła Demokratów – zarówno tych, którzy popierali lewicowego Sandersa jak i tych, którzy chcieli powrotu do centrowej polityki czasów Obamy. Biden, który od ponad pół wieku robił mozolnie karierę polityczną w Waszyngtonie, wydawał się być ucieleśnieniem rozsądnego, liberalnego establishmentu. Tymczasem zamiast liberalnej restauracji mamy dziś w Stanach progresywną rewolucję.

Biden i stojąca u jego boku Kamala Harris posługują się w swoich wystąpieniach językiem używanym w czasie anty-Trumpowych demonstracji organizowanych przez Black Lives Matter. Na czele swojej agendy postawili obronę na całym świecie praw LGBT a skazanie policjanta, który zabił George’a Floyda uznali nie za zakończenie sprawy, lecz za początek dogłębnego procesu złamania raz na zawsze „białego rasizmu”. Wiele z tych haseł żywcem zostało przejętych z tzw. krytycznej teorii rasowej, która wyrasta z radykalnej, postmarksistowskiej filozofii politycznej (w tym sposobie myślenia

miejsce wyzyskiwanego proletariatu zajęły mniejszości rasowe – dla ich pełnej emancypacji należy w rewolucyjny sposób odrzucić i przebudować stare społeczeństwo). W ten sposób radykalizm „cancel culture” czy hasła sprawiedliwości rasowej i społecznej ma wpływ na retorykę i politykę nowej administracji oraz popierających ją mainstreamowych mediów (hasło „woke”, stay woke”, przebudź się, ocknij się – to dla konserwatywnych krytyków symbol wojny kulturowej prowadzonej obecnie przez progresistów).

Nowa administracja przejawia cechy kojarzone z liberalnym prometeizmem, skoncentrowanym na obronie liberalnych wartości w skali globalnej

Wielkie programy socjalne, znacząca podwyżka podatków dla najbogatszych czy zapowiedź zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych o połowę w ciągu

zaledwie dziesięciu lat zapowiadają radykalną, wręcz rewolucyjną falę zmian. Do tego dochodzi także zupełnie inny ton w polityce zagranicznej. Obama na tym polu prowadził politykę ostrożną i zachowawczą. W hasła „America First” z czasów Trumpa pobrzmiwało wezwanie do zdrowego egoizmu narodowego. Nowa administracja przejawia cechy kojarzone z liberalnym prometeizmem, skoncentrowanym na obronie liberalnych wartości w skali globalnej – stąd awantura z Chinami na szczycie w Anchorage czy zdecydowane wsparcie udzielone Ukrainie wobec rosyjskiego szantażu, wbrew lęklivemu stanowisku Berlina i Paryża.

Wszystko to wygląda w równym stopniu imponująco jak i nieco dziwnie. W każdym razie na pewno Bidenowi udało się zaskoczyć zarówno własnych zwolenników, jak i zawziętych wrogów. Wygląda na to, że na serio myśli on o sobie jak o postaci formatu Roosevelta czy Kennedy’ego, a z pewnością kogoś znacznie większego i ambitniejszego od Obamy, w cieniu którego spędził długich osiem lat. Tylko czy ma on – biorąc pod uwagę wiek i słabnące zdrowie, w tym także słabnącą wyraźnie wydolność intelektualną – dostatecznie dużo czasu przed sobą, aby osiągnąć tak ambitne, historyczne cele? W historii wielkość od śmieszności dzieli czasem cienka granica. Najbliższe lata pokażą, czy obecny amerykański prezydent będzie potrafił sprostać własnym wyobrażeniom na swój temat.

Dariusz Gawin

Przeczytaj inne felietony Dariusza Gawina



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

